

Duch:

4. Stadionowcy

Dzisiaj dzień handlu. Niedziela handlowa, ha! Mam w swoim Rosomaku kalendarz. Taki wieczny kalendarz, znalazłem kiedyś w którymś ze sklepów, takie dwa sześciiany z cyferkami. Codziennie zmieniam jedną, przeliczając kolejne dni. A na ścianie obok zaznaczam wydrapywanymi kreskami miesiące. Jest ich już ponad sześćdziesiąt. Nie chcę zatracić się w chociaż w dniach, bo zegarki i zegary już dawno temu przestały działać. Budzik - stary, ozdobny zegar na sprężynę, który mnie budzi codziennie jest ustawiony mniej więcej na wschód słońca i co jakiś czas poprawiam jego dokładność, wiedząc, że chodzi bardzo, ale to bardzo nierówno. Mój zasilany mikrosolarami Casio na nadgarstku też służy mi w zasadzie tylko do mierzenia upływu czasu, a nie wskazywania godziny.

Staram się, by żaden z kolejnych dni nie był taki sam. To też pomaga. Codziennie wybieram inną trasę, inny krąg wokół mojej *Kryjówki*. Od kilku dni zbierałem do dużego plecaka materiały potrzebne na wymianę. W moim Rosomaku miałem kilka źródeł światła - były to niewielkie żarówki LED, zasilane bateriami. Licznik Geigera również wymagał baterii. Zimą dogrzewałem wewnątrz mojego Rosomaka dzięki elektrycznemu grzejnikowi, starając się nie używać ognia. Czasem przydawały się również jakieś naturalne zioła, bo miałem świadomość, że moje wojskowe pakiety medyczne kiedyś się skończą, a dzięki ich długim datom starałem się z nich nie korzystać zbyt często. Poza tym zimą nic tak nie rozgrzewało, jak strzępki długo parzonej herbaty z drobinkami wysuszonej żurawiny. Gorąca woda, w której niemal dało się wyczuć smak, a przede wszystkim zapach, naprawdę dodawała energii. No i filtry do masek domowej roboty - używałem ich zamiennie z oryginałami wojskowymi, gdy pogoda była lepsza i poziom zanieczyszczeń nieco opadał. Tego potrzebowałem. Za to zawsze miałem do oddania magazynki i naboje do ulubionej broni ludzi z pozostałych obozów - do Kałasznikowów. Nie lubiłem tej broni, moim zdaniem za mocno kopał, był cięższy i dłuższy od mojego karabinka, a do tego łukowy magazynek aż prosił się o zaczepienie o coś i gwałtowne wyrwanie przy ucieczce czy szybkim przeskakiwaniu przez jakąkolwiek przeszkodę. Mogłem więc bez żalu pozbywać się tej amunicji, handlując nią ją partiami. Miałem jej w bród, oczywiście nie w magazynach batalionu, które były już dawno ograbione, lecz w sobie tylko znanych skrytkach i kryjówkach na całym mieście. Teraz też miałem przygotowany pełen plecak na wymianę.

Pocieszające było to, że od rana było ładnie. Poznałem to po tym, że wąskimi szparami między płytami zasłaniającymi okna hali wpadało trochę słońca. Mogłem więc iść w samym bojowym mundurze wojsk batalionu, jedynie z maską, zabierając ochronny strój w torbie na wszelki wypadek. Szybko jak zawsze przejrzałem całą halę, sprawdziłem zaspawane i zabarykadowane wejścia, umyłem się wilgotnym ręcznikiem korzystając ze zbiornika na deszczówkę - cały kwaśny deszcz był dokładnie oczyszczany przez dużą instalację stworzoną jeszcze przez żołnierzy i lekarzy za czasów świetności szpitala. Tak oczyszczona woda nadawała się do użycia, ja musiałem tylko regularnie wymieniać i czyścić filtry. Zaraz po tym założyłem na plecy - o wiele cięższy tym razem - plecak i ruszyłem do wyjścia. Poza sprzętem jaki miałem oddać zabrałem również puste baterie i akumulatory - do naładowania. Wrócił handel wymienny,

a papierowe pieniądze nie nadawały się nawet na podpałkę - banknoty niezbyt dobrze się paliły.

Musiałem być wyjątkowo czujny, bo tym razem spacer w handlowych celach mógł zająć mi nawet pół dnia - tam i z powrotem, w stronę obozu. Zawsze spotykaliśmy się mniej więcej w połowie drogi, na zmianę wybierając miejsce. Dzisiaj to ja miałem pokonać dystans, a potem poczekać na zieloną flarę i pójść za jej wskazaniem. Było to o tyle niebezpieczne, że musiałem skierować się w stronę terenów należących do *Dzikich*, do mieszkańców Stadionu, który leżał przecież ledwie pół kilometra w linii prostej od mojej kryjówki. Nie mieliby żadnych oporów przed tym, by mnie zaatakować, zabić i ograbić, a być może i zrobić coś więcej, w związku z małą ilością łatwo pozyskiwanego jedzenia. Na szczęście wiele razy już się spotkaliśmy i nauczyli się, że zwyczajnie nie opłaca się mnie ruszać. W końcu by mnie dopadli, ale cena pokonania mnie była dla nich zbyt wysoka. Pocieszające, że mieli tego świadomość. Raz jeszcze sprawdziłem szelki plecaka, gumy utrzymujące maskę na twarzy i ruszyłem na miejsce.

Szybko skierowałem się na północ. Wyszedłem na ulicę, mrużąc pod nosem słowa *Lokomotywy*, by wciąż pamiętać ulice mojego miasta i szybko doszedłem do pierwszego zakrętu. Kolejna ulica i *Bagnet na broń*, jak bardzo na miejscu. Teraz przyspieszyłem, idąc prosto do dużego ronda, przez które przechodziła ulica nazwana od Polskiego Czerwonego Krzyża. Rondo było zagracone wrakami, ale jak w każdym innym przypadku - środkiem jezdni biegł szeroki na dwa pasy "korytarz ratunkowy" wydarty przez wojskowy sprzęt. Pokonałem rondo i zerknąłem na prawo. Daleko między wysuszonymi kikutami drzew i resztkami budynków widziałem wielki budynek stadionu. To było bardzo blisko, można było powiedzieć, że umyślnie naruszałem ich przestrzeń. Jednak nie było innej drogi, która nie zmuszałaby nakładania wielu minut ostrożnego marszu. Następnym razem muszę wymóc inne miejsce spotkania. Dzięki Bogu - jeżeli jeszcze w ogóle był i patrzył na ten cały bajzel - za pogodę. Tym razem FOO-1 było w bocznej torbie a ja mogłem mieć odsłonięte uszy i słyszałem doskonale wszystko wokół. To chyba to mnie uratowało.

Usłyszałem niewyraźne, nierówne kroki i posapywania. Na szczęście tuż obok był niewielki skwerek, całkowicie zdziczały i zarośnięty, kiedyś otoczony murem, który teraz już rozsypał się niemal całkiem. Bez zastanowienia umknąłem w tamtym kierunku i schowałem się za resztą ceglanej ściany. Błyskawicznie zrzuciłem plecak, położyłem go obok, przycisnąłem karabinek do ramienia i czekałem. Ledwie kilka chwil później zobaczyłem ich - mieszkańców stadionu. Domyśliłem się, że byli myśliwymi. Wszyscy trzej byli mężczyznami, chociaż nie dało się określić ich wieku. Zniszczone, stare buty, wielokrotnie narpawiane na różne sposoby, spodnie składające się już w zasadzie tylko z samych łąt i niemal takie same bluzy czy koszule - to było ich wyposażenie. Wszyscy byli łysi - co było typowe; radiacja i kwaśna woda pozbawiała problemu owłosienia. Dwóch z nich miał otwarte rany na dłoniach, chociaż te już nie krwawiły, trzeci jedynie potężnego guza na głowie. Ale polowanie było udane - ciągnęli za sobą, za nogi, dzikiego psa. Patrząc na ich uzbrojenie - dwie włócznie zrobione z jakiegoś złomu i topór wykonany z - o ironio - znaku drogowego "STOP" - musiałem przyznać, że wiedzieli, jak polować. Ja nie rzuciłbym się na dzikiego psa z takim sprzętem. Ale ci "ludzie" już dawno nie myśleli logicznie, bazowali wyłącznie na instynkcie. Skóra na twarzach, szara i sprawiająca upiorne wrażenie maski naciągniętej na nieruchawy szkielec upewniała mnie w fatalnym stanie ich organizmów. Albo o dostosowaniu się i nabyciu odporności kosztem wyglądu. Obserwowałem ich, jak pokracznie idą, nierówno. Jeden z nich musiał mieć kiedyś złamaną i krzywo zrosniętą nogę, ale najwyraźniej nie przeszkadzało mu to w najmniejszym stopniu. Patrzyłem, jak wloką się ulicą powoli, by wreszcie skrócić w stronę stadionu. To było dla mnie niepojęte, że w zaledwie kilka lat od *Katastrofy* zmienili się tak bardzo. Niewiele zostało w nich z ludzi. Leżałem jeszcze chwilę, czekając aż oddalą się odpowiednio daleko, po czym powoli uniosłem się na kolana, wciąż trzymając w rękach broń. Założyłem plecak, a potem ostrożnie wyszedłem na ulicę. Obejrzałem się raz

jeszcze na oddalających się powoli *Stadionowców*, a potem ruszyłem szybko w stronę miejsca spotkania. Bałem się, że mogę być już spóźniony.

Doszedłem ledwie do środka ulicy, gdy usłyszałem odległy huk, świst, a potem trzask, jak przy fajerwerkach. Flara. No do jasnej cholery! Nie mogło to być pięć, dziesięć sekund później? Trzej mężczyźni jak na rozkaz obejrzel się i zobaczyli mnie, samotnego, stojącego na środku ulicy. ICH ulicy. Zamarłem w bezruchu, mając nadzieję, że gdzieś w ich wyjałowionych zatrutą wodą i kwaśnymi deszczami głowach załśni resztką rozsądku, że przecież mają już jedną zdobycz, że ja to jestem ten uzbrojony Duch, którego nie ruszają, że jestem o wiele groźniejszy od psa, ale niestety nadzieja jest matką głupich. Z ich gardeł rozległ się ni to krzyk, ni to warkot, a ja, zanim się zorientowałem, zdołałem tylko uskokoczyć przed długą włócznią, która przeleciała dosłownie pół metra ode mnie. O wiele za blisko. Rzuciłem się do ucieczki, chociaż wiedziałem, że *Stadionowcy*, mimo swoich potwornych przemian, byli szybcy. Cóż, musieli, skoro chcieli przetrwać w takim środowisku. Nie miałem czasu na kluczenie, rzuciłem się po prostu przed siebie, chcąc jak najszybciej uciec. Za sobą słyszałem wciąż odgłos ścigających mnie ludzi i co gorsza, miałem nieodparte wrażenie, że wciąż się dźwięk nasilał. Gdy przed sobą zobaczyłem stary samochód, jednym skokiem przeskoczyłem nad nim i po drugiej stronie uklęknąłem, ostrożnie się wychylając. Mężczyźni oczywiście zobaczyli moją kryjówkę i nieco zwolnili, ale nie zamierzali się zatrzymać. Jeden z nich, ten z czerwonym toporem z resztkami liter "ST" unióś go wysoko i ryknął, gotów skrócić mnie o głowę. Uniosłem karabinek do ramienia i wystrzeliłem raz, w sam środek ciężkiego ostrza. Pocisk błyskawicznie pokonał dystans i oczywiście przebił prymitywną tarczę znaku na wylot, ale siła uderzenia sprawiła, że topór został dosłownie wyrwany z jego rąk. *Stadionowiec* popatrzył na swoje dłonie nieco zaskoczony, jakby nie rozumiejąc, co się stało, że jego broń tak nagle zniknęła. Drugi zamachnął się, ale włócznia przeleciała o wiele za wysoko. Teraz dzieliło nas jakieś dwadzieścia kilka metrów i powoli wstałem, cały czas mierząc w nich z broni. Cisza i brak jakiegokolwiek ruchu między nami przeciągała się w nieskończoność.

- Saabiic! - Ryknął gniewnie jeden z nich, i zrobił krok, ale wstrzymał się, gdy przesunąłem broń wprost na niego. Trochę mnie to zdziwiło, dotychczas nie słyszałem, by *Dzicy* reagowali inaczej, niż krzykiem albo warkotem. Zrobiłem krok w tył. Szybkim ruchem popatrzyłem za siebie, ledwie kilka metrów dalej była stara kamienica, pierwsza z całego osiedla. Znałem na tym osiedlu wszystkie ścieżki, gdzie bardzo łatwo można było zgubić pościg. Zwłaszcza, że tu i ówdzie były moje potykacze i drobne pułapki, o których wystarczyło pamiętać. Nagle gdzieś za mną rozległ się huk, świst i liczne, głośne trzaski. Druga flara. Zakląłem w myślach, po trzeciej flarze ludzie odejdą. Jednak to było dla mnie wybawieniem; trzej *Dzicy* popatrzyli w niebo, obserwując flarę. Natychmiast rzuciłem się do ucieczki. Usłyszałem za sobą gniewny krzyk, ale szybko zniknąłem za rogiem kamienicy, rzucając się biegiem przed siebie. Miałem naprawdę mało czasu. Tym razem jednak *Stadionowcy* nie podjęli pościgu. Wiedziałem z doświadczenia, że unikali zamkniętych przestrzeni. Każda ucieczka w ruiny kamienicy, wieżowca czy innego budynku była więc szansą. Ale obiecałem sobie, że to był ostatni raz. Druga flara mnie uratowała, ale pierwsza sprowadziła zagrożenie. Musimy z tego zrezygnować. I przesunąć punkty spotkań. Najlepiej bardziej na zachód, może nawet za rzekę - już tylko z nazwy, bo teraz szaroburą, zatrutą i pełną trucizn - Białą.

Ciszę po raz kolejny przerwał głuchy huk, zaraz po nim był świst i ciche trzaski. Flara. To był umówiony sygnał. Tym razem już trzeci, ostatni. Na szczęście miałem już dosłownie kilka ostatnich metrów do miejsca. Szybko szedłem wzdłuż wąskiej ulicy, zachowując czujność. Kilka chwil temu minąłem centrum medyczne, oczywiście od dawna już niemal zupełnie ogołocone ze wszystkiego, co tylko mogło się przydać. Z tego, co pamiętam, zabrano stamtąd nawet szafki. Teraz kierowałem się w stronę miejsca, skąd mniej więcej wystrzelono racę. Wiedziałem, że moi handlowi partnerzy byli już na miejscu, ale zawsze

mogli przygotować pułapkę. Musiałem uważać. Każde takie spotkanie to budowa zaufania od pierwszego spotkania po rozejście się z nadzieją, że nikt nikomu nie strzeli w plecy.

Gdy zbliżałem się do celu, słyszałem głośnie rozmowę. Wiedziałem więc, że było ich dwóch, a może więcej, a tylko ci dwaj mieli za zadanie odwrócić moją uwagę? Poprawiłem swoją maskę z bocznym filtrem i dużym wizjerem obejmującym całą twarz. Teraz miałem ją bardziej dla pozorów, po prostu nie chciałem zostać rozpoznany. Kiedyś nawet przeszło mi przez głowę, by ją trochę zaciemnić, ale w końcu doszedłem do wniosku, że ograniczyłyby to tylko pole i jakość widzenia. Szedłem powoli, krok za krokiem, wsłuchując się w każdy szmer. To straszne, co się ze mną stało przez te wszystkie lata, ale naprawdę byłem teraz już jak dzikie zwierzę. Te wszystkie dni, miesiące i lata, które spędziłem, koncentrując się na przeżyciu w ruinach miasta sprawiły, że moje zmysły nieprawdopodobnie się wyostrzyły. Stojąc tuż za rogiem, słyszałem ich słowa nieco niewyraźne przez filtry masek, które mieli założone, a ich głośnie oddechy, gdy wciągali chłodne powietrze kojarzyły mi się ze słynnym oddechem Dartha Vadera. Westchnąłem cicho. No dobrze, czas pohandlować. Zaryzykujmy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

MarcinD, dodano 01.04.2019 10:51

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.